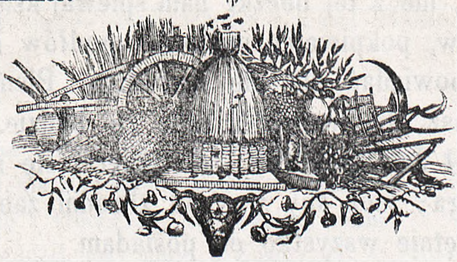
Tom I. **Nr. 10.**

1. Października. **1859.**

Wychodzi we Lwowie co 10 dni, to jest 1. 11. i 21. każdego miesiąca.

Kosztuje rocznie z przesyłką pocztową 2 zł. w. a., półrocznie 1 zł. w. a.



DZWONEK

PISMO DLA LUDU.

Boga, dzieci, Boga trzeba,
Kto chce syt być swego chleba.

MIŁOŚĆ PRAWDY.

Powołany był razu jednego św. Jan Kanty do chorej staruszki, która gdzieś opodal Krakowa na wsi mieszkała. Wracając ztamtąd późna już była godzina. Po obu stronach drogi ciągnęły się gęste lasy, a w tych lasach od niejakiego czasu pojawiła się banda rabusiów, o których rozpowiadano straszne rzeczy. Ale św. Jan nie wiele na to dbał, choć był sam jak palec, wśród ciemnej nocy, i na pustym gościńcu — jako że człek przy czystem sumieniu nie ma się czego strachać ani ciemności nocnej, ani też złości i nieprawości ludzkiej. Szedł więc sobie powoli gościńcem, odmawiając pacierze. I był już w połowie drogi, kiedy nagle z za gęstych krzaków wypada kilku srogich mężów, zbrojnych od stóp do głowy. Zatopiony w modlitwie mąż św. nie spostrzegł się pierwej, aż już dokoła był przez nich otoczony. Nietrudno też było odgadnąć, kto oni byli: każdemu zbój patrzył z oczu, a każdy miał długi nóż zatkany za pasem, łuk do rzucania strzał przewieszony przez plecy, i ostry miecz w dłoni. Nie przeląkł się ich przeto Jan Kanty, i miłem okiem patrząc dokoła, zapyta:

— Czego chcecie, moi ludzie! jeśli wam w czem biedny ksiądz usłużyć może, rzeknijcie, to i owszem.

— Ho, ho, nie z tej beczki nam śpiewaj księżuniu! zawołał jeden ze zbójców, pokpiwając sobie — modłów nam twoich nie potrzeba, a spowiadać się nie myślimy. Pieniędzy dawaj, i wszystko co masz, bo inaczej z tobą źle będzie.

Na to rzekł Jan spokojnie: — Śmierci się nie boję, bo ta jest w ręku Boga; lecz aby was od zbrodni zabójstwa wstrzymać, oddaję chętnie wszystko co posiadam.

To mówiąc, złożył w ręce zbójców cały swój niewielki majątek, jaki miał na ten czas przy sobie.

Zapytał znowu zbójca: — I to już wszystko co masz? przysiąż nam na Boga...

— Tak mi Bóg świadkiem, że nie zataiłem ani marnego grosza przy sobie! — zaklął się mąż św.

Wtedy złoczyńcy puścili go wolno, usuwając się w gęsty las. I szedł sobie Jan św. dalej drogą do domu, domawiając przerwanych pacierzy — gdy w tem, sięgnąwszy przypadkiem ręką do kieszeni, widzi że w niej jeszcze jeden pieniążek pozostał.

— Panie Jezu przebacz! zawoła strwożony — iże mimo mojej woli popełniłem kłamstwo. I nie wahając się ani na chwilę, wraca spiesznie w stronę, w którą odbiegli zbójcy. Po długiem szukaniu po lesie sobie nieznanym, znalazł ich wreszcie przy wielkim ogniu siedzących i wesoło ucztujących.

— Darujcie, powiada — skłamałem mimo chęci: oto jeden jeszcze pieniądz, który mi się jakimś dziwem zaplątał w kieszeni i pozostał, weźcie go!...

Taką miłością p r a w d y zdziwieni złoczyńcy, stanęli na razie jakby ich kto w kamienie poprzeobrażał. Aż przyszedłszy do siebie, padli wraz wszyscy na kolana przed sługą bożym i wracając mu zabraną sumkę, prosili na wszystko w świecie, aby ją przyjął napowrót do siebie i między ubogich rozdzielił, a czasem też i za nich się pomodlił.

Co się z nimi po tem stało, nie stoi napisano. Ale że Jan św. często w modlitwach swoich polecał ich grzeszne dusze miłoserdziu Boskiemu, to spodziewać się należy, że nie zginęli marnie i w późniejszem życiu pokutę czynili.

Śpiewki Jasia i Zosi
przed ślubem.

(Złożył do składu Bartłomiej z pod Wiśnicza.)

Jasio.

Chwałaż Tobie Jezu, co jesteś nad nami,
Żeś mi nie dał zginąć pod karabinami,
Dał siłę i trochę tej tam świętej ziemi,
I sprowadził oczy moje z Zosinemi!

Zosia.

Najświętsza Panienko, chwała ci chwała,
Żeś wianek do czasu donosić mi dała,
Do czasu donosić, zawiesić w kościele,
Drugim pannom na znak, świętym na wesele!

Jasio i Zosia.

1.

— Ładnaś mi Zosieńko jakby malowana —
Oczka jak tareczki, gębusia rumiana,
Gębusia rumiana, całe ciałko białe —
Wyjdzie-że mi taka żoneczka na chwałę!
— Ej zkądbym tam Jasiu taka ładna była?
Tak się tobie jeno zdaje bom ci miła:
A jeżeli trochę jest tam tej ładności,
To mnie to raduje dla twojej radości!

2.

— Stroją basy skrzypiciele na nasze wesele —
Czego płaczesz moja Zosiu? powiedz-że mi śmiele!
— Płaczę sobie mój Jasieńku, bo różnie gadają,
Bo się boję takiej doli jaką drugie mają; —
Umrę ja ci, jeśli będziesz po karczemkach chodził,
Mnie bił kijem i za włosy po podłodze wodził!
— A cóż ci moja Zosiu przyszło dziś do głowy,
Jażbym nie czcił cię za wianek twój rozmarynowy?
A niechżeż mi z wolą Boską złego coś się stanie,
Niżbym cię nie poszanował za twoje kochanie!

3.

— Dwa ogródki pełne rudki na nasze wesele —
Czemuś smutny mój Jasieńku? powiedzże mi śmiele!

— Jakżeż ja się nie mam smucić, Zosiu życie drogie,
Kiedy muszę cię wprowadzić w obejście ubogie;
Oj nie będzież wypoczynku dla ciebie ni święta,
Popękająż ci od pracy bieluchne rączęta!
— Ej, nie plótłbyś mój Jasieńku, nie plótł jak na męce:
Czyż ja pani, abym miała delikatne ręce?
Patrząc na się, będzie jedno i drugie robiło,
Będzież nam się robić będzie roboteńka miło!

Bolesław Chrobry.

A był ten król Bolesław — jak stare księgi piszą — chłop setny i ciężki, że aż się koń pod nim uginał, a chrobry co znaczyło waleczny na wojnie, i zmyślny jak nikt w świecie, a pobożny i sprawiedliwy, a gościnny i hojny nad wyraz, jednem słowem: był to *król nad króle*.

Skoro też objął po swoim ojcu Mieczysławie panowanie nad Polską, a tu na Polskę cisną się wrogi z wszystkich czterech stron świata, tak ci ani chwili nie zwlekał, ani się też zabawom oddawał, ale zapłonął srogim gniewem jako ten rodzic, któremu zbójce chcą dom zrabować i miłą dziatwę zabrać w niewolę, i na królewskie ciało przywdział żelazną zbroję, i przypasał ciężki miecz do boku, i z całego kraju powołał rycerstwo, które się posłuszne i ochotne wnet na głos swego króla stawiło. Hej! byłoż to wtedy na co patrzyć, jak taki król stanął na czele takiego wojska — toć kiedy z miejsca ruszyli i hura na wroga! pod kopytami końskiemi zadudniła ziemia jak gdyby sto na raz biło piorunów, a od chrzęstu żelaznej zbroi, w jaką po tamte czasy ustrojony był każdy wojak od stóp do głowy, powietrze się głuszyło i z daleka już od tego strach imał słuchającego człeka. Owóż gdzie się pokazał nasz Bolesław, na zachodzie czy na wschodzie, na północy czy na południu, nigdzie mu placu nie dotrzymali wrogi, wszędzie ich pobił i niedość że precz napędził od polskiej granicy, ale jeszcze za karę wpadł do ich własnego kraju i tam ich dopiero uczył rozumu: jak to boli kiedy biją — i jak niebezpiecznie zadzierać z polskim narodem, zwłaszcza kiedy taki chrobry Bolesław trzyma nad nim

opiekę. Niebawem stał się on dla nich prawdziwym postrachem, na samo imię jego każdy cudzoziemiec dostawał drząozki, a w duchu i naturalnie poza oczy, jak każdy tchórz, klął na czem świat stoi i przezywał króla polskiego: to lwem ryczącym, to gadem jadowitym, to okrutnym Polakiem, i Bóg wie jeszcze jak inaczej, że im się tak bardzo dał we znaki. Ale któż im był winien? — Nie wywołuj wilka z lasu! mówi przysłowie; pocóże go sami wywołali?

Tymczasem wiele narodów, które do tych czas nie należeli do Polski, widząc jaki to walny król był ten Bolesław, sami mu się prawie poddawali i połączyli się z polskim narodem. I tak Polska, co dotąd nie wielkim była krajem, stała się naraz pod Bolesławem państwem obszernem, możnem i bogatem, jak rzadko które inne. Tabo też niedość że Bolesław był taki zuch do miecza, taki chrobry na wojnie — był on takoż jak wam już powiedziałem i Boga szczerze miłujący, toć za to miał błogosławieństwo od niego. Ojców duchownych wielce szanował, nazywał ich „księżami“ co tyle znaczyło jakoby „książę“ — i choć to był pan nad pany, przecie jeśli miał księdza u siebie w gościnie, nie usiadł ci pierwej, póki ksiądz tego nie uczynił — tak wiele znaczył u niego sługa boży. Kościoły i klasztory licznie po kraju zakładał i hojnie wyposażał, a wiara święta, którą był zapalił król Mieczysław i jego bogobojna żona Dąbrówka w narodzie polskim, największej od ich syna doznawała opieki.

A był ci on i gospodarz nieladajaki w królestwie swojem, i sprawiedliwy bez różnicy dla wszystkich, jako że wszystkich kochał zarówno: panów i chłopków, ubogich i bogatych, i nikomu żadnej krzywdy czynić nie dał. To też ilekroć jaki włościanin, chudzina, białogłowa uboga żałowali się na kogo, choćby ten nie wiedzieć jak wysoko stał, nic to — król skargę wysłuchał i natychmiast musiała się stać sprawiedliwość pokrzywdzonemu. Żeby zaś łatwiej mógł tej sprawiedliwości dokonać, miał on przy sobie dwunastu panów „rajców,“ których używał do rady. Z nimi jeździł po kraju, a ludzie ze wszystkich stron się schodzili, i każdy wtedy śmiało przedkładał co miał na sercu, wiedząc że mu się stanie zadość. Był on również sprawiedliwy i sur wy na urzędników swoich — broń Boże, żeby który co

przeskrobał, nie uszło mu to na sucho, owszem zaraz „sprawiał mu król gorącą łaźnię“ — jak mówi przysłowie. A to przysłowie właśnie z tamtych czasów pochodzi; miał bowiem Bolesław taki zwyczaj, iż tego co zasłużył na karę, brał ze sobą do łaźni, czyli gorącej kąpieli, i tam go dopiero sam swoją ręką porządnie ociął rózgami. Prawdziweż to było ojcowskie napomnienie!...

Pod rządami takiego króla-ojca i przy Boskiem błogosławieństwie nie dziw, że kraj polski miał wszystkiego podostatkiem: więc złota i srebra, chleba i mięsa, miodu i ryb aż do zbytku. — I było tam powietrze zdrowe, i rola nad podziw urodzajna, a rycerstwo bojowe, a włościaństwo pracowite, i konie wytrwałe, i woły robocze, i krowy dojne, i owce wełniste — a rzeki nasze spławne dźwigały statki ładowne przeróżnemi towarami, a miasta nasze handlowne wszystkiego ci dostarczały, czegoś jeno żyw zapragnął. I nie było ani tak pięknej, ani tak rzadkiej rzeczy na świecie, którejbyś nie dostał po tamte czasy w Polsce... tak tam wszystkiego było podostatkiem.

Słusznie tedy gruchnęła sława po całym świecie o rządach Bolesława. I znalazło się wielu takich ciekawych, co to byli radzi poznać tak wielkiego króla i państwo polskie tak bogate. A że wiadomo było, jako chętnie widział u siebie król polski każdego gościa, którego z wielkiej szczerości zwykł był nie gościem ale raczej synem swoim mianować — więc ze wszystkich stron świata tacy ciekawi kupami zjeżdżali się do Polski i na dwór królewski, gdzie ich zawsze raczono z wielką hojnością.

Owóż do takich ciekawych należał także i cesarz niemiecki Otto III.*) Ale zdało mu się, że wprost jechać w odwiedziny do króla polskiego, od którego miał się niby za coś lepszego, to jakoś nie wypada. Ogłosił więc, że myśli odprawić pielgrzymkę do grobu św. Wojciecha, męczennika i patrona naszego, który właśnie za czasów Bolesława, nawracając pogan w sąsiedniem

*) Ta liczba III. oznacza, że to był trzeci z kolei cesarz tego nazwiska, co panował nad Niemcami. I kiedykolwiek wam się zdarzy, napotkać taką liczbę przy jakim cesarzu albo królu, będzie ona zawsze to samo oznaczać.

państwie Prusaków do wiary Chrystusowej, srodze był od nich umęczony; zaś ciało jego przez Bolesława wykupione, złożone było w Gnieznie, polskiem mieście i królewskiej pod ten czas stolicy. Kiedy indziej przepowiemy wam coś więcej o tym św. mężu i o jego śmierci męczeńskiej; tymczasem posłuchajcie dalej, jako się ten cesarz Otto wybierał niby to na św. pielgrzymkę do Gniezna, a więcej pono z ciekawości poznania naszego chrobrego Bolesława i przypatrzenia się naszej pięknej Polsce. Skoroż się Bolesław o tem dowiedział, jako gospodarz w swoim domu chciał przyjąć cesarza uczciwie i gościnnie. Więc zgromadził co najprzedniejsze rycerstwo w koło siebie, w pięknej zbroi i na pysznych koniach, i w tym poczcie zabiegł drogę cesarzowi na granicy państwa swego. Dopieroż to cuda dokazywał na cześć przybycia tak dostojnego gościa!.. Na rozległej dolinie zebrało się mnóstwo luda strojnego i pięknego wojska na koniach, w świecącej zbroi, i to wszystko stało po obu stronach drogi, kędy cesarz przejeżdżał ze swoim licznym dworem a obok niego król polski z przedniejszymi pany i dworzany. Obaczywszy z daleka miasto Gniezno, zdjął cesarz obuwie i szedł już bosą nogą do samego miasta. A Bolesław kazał tę całą drogę wysłać cienkiem suknem, aby sobie gość jego podczas tej bosej pielgrzymki nóg nie poranił. Po skończonem nabożeństwie w kościele Bogarodzicy, gdzie był właśnie grobowiec św. Wojciecha, cesarz jeszcze na pamiątkę swojego tam pobytu poczynił kościołowi drogie dary, a potem już szedł z całym swoim dworem na zamek królewski, gdzie mu król polski wyprawił gody. A były to gody nad godami! Niemcy aże za głowy się brali z podziwu, widząc wszędzie takie niezmierne bogactwa. Izby królewskie wysłane cienkiem suknem, to cudnemi kobiercami obite — na stołach godowych same złote i śrebrne naczynia, w których gościom podawano smaczne nad wyraz potrawy, zaś na boku stały konwie takoż ze szczerego złota i śrebra, a pełne słodkiego miodu i bardzo po tamte czasy lubionego piwa. Każdy kto chciał, czy to pan, czy mieszczanin, czy kmiotek ze wsi przychodził sobie śmiało, jadł i pił co mu się żywnie spodobało a zarazem z cesarzem i królem, i nikt go tam za drzwi nie wytrącał, bo to już takie były dobre czasy wtedy, że się jeden

drugiego nie wstydził — czy on w złotogłowiu był, czy w prostej siermiędze.

Tak przez całe trzy dni raczył Bolesław swoich niemieckich gości, a podobno nigdzieby im już na świecie lepiej nie było. Jako że sami potem powiadali, kiedy popowracali do swoich: „iż niepodobna ani wyrazić, ani uwierzyć, jak suto przyjmował ich u siebie król polski.“ A po tych trzech dniach wszystko co jeno było cudnego na pokojach królewskich, jako to: ze złotych i śrebrnych naczyń, i z drogiej materyi — kazał Bolesław pozbierać i podarował cesarzowi to wszystko na pamiątkę, że aż się onemu dziwem zdały tak hojne dary. Ale jeszcze nie dosyć na tem! cały dwór cesarski, jak liczny on był, został od Bolesława obdarzony hojnie na drogę, tak, że nie było żadnego, choćby najpodlejszego ze sług cesarskich, któryby z tej gościny nie wziął jakiego drogiego upominku do domu.

Widząc tedy cesarz, jaki to był człek tęgi, ten Bolesław, jakie miał wojsko, jakie skarby, i jaki był miły dla swoich poddanych — a chcąc mu się także ze swojej strony czemś przysłużyć za tak sutą gościnę, ostatniego dnia przy obiedzie zdjął sobie z głowy koronę, i włożył ją Bolesławowi — i odtąd go już nie nazywał hrabią, ale królem, co i sam papież w Rzymie niebawem potwierdził. Bo tylko przypomnijcie sobie, com był rzekł przy królu Mieczysławie: że go obcy nie chcieli uznawać królem, jeno hrabią — choć on nie wiele tam o to dbał — tak samo i z Bolesławem było do tych czas. Aż dopiero cesarz ten Otto III. przy owych godach za króla go uznał, i odtąd już go inaczej i za granicą nie nazywano, jeno królem polskim.

A działo się to wszystko roku pańskiego 1001 — więc 858 lat temu. Nareszcie cesarz wrócił do swoich, i wkrótce jakoś potem umarł. Z jego następcą Henrykiem II., któremu się nie podobało, że Bolesław w takiej był sławie u ludzi, i że się tak bardzo wzmógł w siłę, musiał znowu król nasz wojować, aż pobiwszy go należycie kilka kroć, zmusił nareszcie do zawarcia pokoju — przyczem zyskała Polska dwa kraje: Morawją i Luzacją. Zaledwo się tu uspokoił, aliście znowu ze wschodu pokazał się nieprzyjaciel. Więc duchem zwraca się w tę stronę — i przetrzepawszy wroga po swojemu, zapędził się za nim daleko

aż do wielkiego i bardzo bogatego miasta Kijowa, które też niebawem, widząc że krucha rada, i że tu niema co żartować z takim chrobrym królem, samo mu się w ręce oddało. Była tam złota brama w tym Kijowie, przez którą wjeżdżając Bolesław do miasta, na znak zwycięztwa uderzył w nią ciężkim mieczem, a tak silnie, aż się tenże wyszczerbił. Odtąd też nazywał się ten miecz „Szczerbcem“ — a po śmierci Bolesława złożono go w skarbcu królewskim na krakowskim zamku, i każdy z krolów polskich, skoro na tron wstępował, przypasywał go sobie podczas tej uroczystości do boku. Zabawiwszy czas jakiś w Kijowie i nakazawszy wbić słupy żelazne w rzece Dnieprze, co płynie pod Kijowem, na oznakę polskiej granicy, wyruszył potem wesół sobie do Polski. I miał już nadal Bolesław nasz spokój, bo nieprzyjaciele zwąchali pismo nosem i nie zadzierali z nim więcej, on zaś nie był taki chciwy, ani znowu okrutny, żeby miał dla jakiejś swojej zabawki i dla próżnej sławy wystawiać ludzi na śmierć, i bez potrzeby w bójki się wdawać.

Było to roku 1025 — w miesiącu czerwcu nagle zaniemógł nasz chrobry król. Przeczuł on bliski swój koniec, więc przywołał radę państwa i polecił im synka Mieszka — którego miał z trzeciej żony swojej a najukochańszej Konildy, córki zacnego pana imieniem Dobromira — na króla. A kiedy zapytano go, jak długo trwać ma po nim żałoba, odpowiedział smutno: „Nie miesiąc ani lata naznaczam wam do tego, lecz ktokolwiek mnie znał i łask moich doświadczał, długo, codziennie płakać mnie będzie. I nietylko ci co mnie znali i łask moich doznawali, płakać mię będą; lecz nawet ich synowie i synów ich synowie zgonu króla Bolesława, słysząc ludzkie o nim powieści, pożałują.“

Po śmierci króla wyglądała cała Polska jakby jedna rodzina, opłakująca miłego ojca. Zaniechano wszelkiej zabawy, skocznych tańców i wesołej muzyki na cały rok. — I było na polskiej ziemi siła płaczu i szczerego smutku a nie przez jeden rok, bo i tyle lat i tyle już wieków minęło, a po dziś dzień jeszcze opłakują go polskiej ojczyzny synowie, i płakać będą ich synów synowie, słysząc ludzkie powieści o Bolesławie Chrobrym — co to był król nad króle.

Piękny przykład.

Włościanie Bierżańscy na Żmudzi — jako poratowali bliźnich swoich z Wołożyna w nieszczęściu.

Przed trzema laty pojawiła się straszliwa zaraza na bydło w niektórych okolicach naszej Polski. Między innemi doznali tej klęski gospodarze z Wołożyna, włości należącej do niejakiego pana hrabiego Tyszkiewicza. A ten pan hrabia mieszka sobie zwyczajnie w Birżach, co także jest jego dziedzictwem a leży na Żmudzi. Piękny to kraj, ta nasza Żmudź, a daleko ztąd ku północy i nad morzem położony. Lud tameczny pobożny, uczciwy i pracowity, ma się bardzo dobrze i na niczem mu przy Boskiej pomocy nie zbywa.

Skoro się pan hrabia dowiedział o nieszczęściu swoich kmiotków z Wołożyna: jako im tam wszystko bydło wypadało, robocze i nierobocze, i zostali tak prawie jakoby bez rąk — opowiedział to zaraz gospodarzom Birżańskim na naradzie włościańskiej, która się tam zwykle co tydzień odbywa. Poczciwi ludziska, dowiedziawszy się o tem, aże się mało nie popłakali, tak sobie to nieszczęście bliźniego wzięli do serca. Ale niedość na tem — myślą oni sobie: kto żałuje bliźniego, ten dopiero w połowie wypełnia chrześcijański obowiązek; aby go całkowicie dokonać, wypada nieszczęśliwemu podać rękę w nieszczęściu, iżby się podźwignął na nogi. Tedy rada w radę między sobą — i uradzili: że każdy z nich — a było ich tam siła, bo dobra Birżańskie to nie ladajakie dziedzictwo — bierze do siebie po jednym cielaku na trzyletni przychowek, a po trzech latach już podchowanego oddaje na własność onej poszkodowanej gromadzie z Wołożyna. Cielęta kupił sam dziedzic, włościanie zaś karm' i zachód wszelki wedle tego ofiarowali na trzy lata. A trzeba wiedzieć, że ci ludzie ani nawet znali tamtych z Wołożyna — bo gdzie Birża a gdzie Wołożyn! to jedno od drugiego strasznie daleko; ale czynili im dobrze naprzód dla tego, że ich uważali po chrześcijańsku jako bliźnich swoich, a potem dla tego, że jedni i drudzy byli polakami, więc godnie aby swój swego ratował.

A od tego czasu właśnie w tym roku trzy lat minęło. Z cieląt porobiły się już spore woły, tak że jeno je brać w jarzma, i zaprzęgać do pługa. Aleć znowu bieda z tem, jak to będzie takie stado wołów, co tysiąc i dwieście sztuk liczyło, zagnać aż do Wołożyna, tak daleko?... Więc dziedzic im radzi: czyby nie było dobrze rozsprzedać to stado na miejscu, i to w ten sposób, ażeby każdy zapłacił za swoją sztukę po 10 rubli, co znaczy mniej więcej 15 naszych reńskich. Rada była niezła, to się i nikt temu nie opierał, i każdy złożył chętnie swoje dziesięć rubli na ręce dziedzica, z czego się zebrała suma znaczna, bo dwadzieścia tysięcy rubli śrebrem na korzyść chłopków Wołożyńskich.

I będzie temu dwa miesięcy, kiedy do Wołożyna zjechał dziedzic z rublami gospodarzy Birżańskich, przeznaczonych na poratowanie tamecznego ludu. Zaraz też powołał gromadę Wołożyńską do siebie, powiedział im jak się cała rzecz ma, i jaką miłość znaleźli tam u nieznanych sobie braci na Żmudzi, a potem ile na kogo po słuszności wypadło, wypłacił i oraz im przekazał, ażeby tak samo, jako dzisiaj od bliźniego swego doznali pomocy, kiedyś w nieszczęsnym razie drugiemu pomocnej nie żałowali ręki. Co też mu wszyscy przyrzekli święcie, błogosławiąc miłosiernych gospodarzy z Birży.

Tego samego dnia odbyły się nieszpory w kościele OO. Bernadynów w Wołożynie. Był tam dziedzic i dużo gości z sąsiedztwa, a zresztą cała gromada zapełniła dóm boży, prosząc pana Boga o szczęście dla onych dobrych ludzi, co im takie wyświadczyli dobrodziejstwo. Odśpiewano pieśń dziękczynną: „Ciebie Boga chwalimy.“ A po nieszporach każdy z chłopków oddał jakąś cząstkę z tych pieniędzy, co dostał ze składki, na szpital ubogich dziatków i kalek, którzy tam przy kościele Wołożyńskim mają swoje zaopatrzenie.

Tak to jeden dobry uczynek mnoży wiele innych — i ręczę że nie jeden z tej gromady w Wołożynie, jakkolwiek przed tem był może serca twardego i nieuczynnym dla drugich, doznając dziś na sobie samym tak piękny przykład miłosierdzia pobożnych i uczciwych Żmudzinów, stał się już na dal uważniej-

szym i tkliwszym na ludzkie nieszczęścia, i w razie potrzeby chętnieby podał pomocną rękę bliźniemu.

O drzewie opałowem,

w jaki sposób oszczędzić go można.

Rozmowa dwóch gospodarzy.

Mikołaj. Co to będzie robić, Jędrzeju! zima na karku, a tu nie wiedzieć zkąd już tych pieniędzy brać na drzewo, co go tyle u mnie wychodzi do roku, że aż strach. Oj, trza to pono będzie i tej zimy biedować; żeby choć jaka łagodna była.

Jędrzej. Takci tam właśnie łagodna! ani się radujcie na próżno, bo byście się, jak mi się wszystko widzi, srodze na niej zawiedli. A to właśnie wczoraj byłem ja w naszem mieście za sprawunkami. Wedle ratusza na rynku, kogo spotykam? zgadujcie! ano Antka, wójtowego chłopca co to się ma na księdza uczyć, i podobno nie na żarty do książki się przykłada. Tak zaraz on do mnie: „Jak się macie Jędrzeju? a co tam tatuś porabia? a czy wszyscy zdrowi doma?“ ja mu na to wszystko odpowiadam i idziemy sobie tak oba wraz przez miasto. Nareszcie zagaduję ja go znowu ze swojej strony: co tam słychać po świecie nowego? żeby mi powiedział. No, to i Antoś powiadał mi co tam piszą w gazetach, jeno że mi się to wszystko jakoś ani rusz głowy trzymać nie chciało, to i powtórzyć wam tegó nie mogę. Jednej tylko rzeczy nie zapomniałem, jako nas z bliska obchodzącej; była to mowa o tegorocznej zimie. Owóż powiadają ludzie i tak nawet piszą po gazetach: że tego roku sroga nas zima czeka.

Mikołaj. Owa, że tak piszą, to jeszcze nie racja. Abo to zaraz i prawda ma być? ja temu nie wierny!

Jędrzej. Bo byście nie radzi takiej zimy doświadczyć — to dla tego. Zawsze człek radziej w dobre uwierzy, a niżeli w złe. I toć właśnie niedobrze! bo jak to mówią: „Strzeżonego pan Bóg strzeże“ — więc lepiej spodziewać się złego i wcześniej zapobiegać temu, aby się nam nie dało we znaki, a

niżeli dufając w dobre, opuścić ręce po sobie i dopiero stać się mądrym po szkodzie. I ciekawym też dla czegoby ta zima, jak powiadają, nie miała być ostrą? Jużcić tego mi nie powiecie: jakoby zima waszej woli była posłuszną, i dla tego mrozem nie prażyła waszych kości, że się to wam nie podoba — co?...

Mikołaj. A jużcić, taki głupi nie jestem, żebym miał zimie rozkazywać. Ale kiedy już tak mądrze gadacie, mój Jędrzeju, że wam nareszcie i wierzę, podajcież mi jaką dobrą radę na tę zimę — ma się wiedzieć taką: co by to i wilk był syty i koza cała — to jest: żeby i na kieszeń moją nie było przyciężko i w chałupie ciepło jak się patrzy.

Jędrzej. I owszem poradzę, byleście mię usłuchać chcieli. Powiadacie że drzewo drogie, co i prawda, zwłaszcza w naszej stronie, gdzie mało lasu — zaś grosza u was skąpo, co także prawda, jako że po te czasy nikt go nie ma do zbytku i na wyrzucenie. W takim razie prosty nasz rozum nakazuje oszczędność. Szanuj drzewo, które cię tak drogo kosztuje, a poszanujesz i kieszeń twoją...

Mikołaj. Widzisz! to mi dopiero piękna rada: — Szanuj drzewo, a zębami dzwoń! — i bez waszej rady ja to umiem, bom tego już od maleńkości nawykły.

Jędrzej. Ale powoli, sąsiedzie! nie łapcie mię za słowo, bo jeszcze nie wiecie com chciał powiedzieć. Jeżeli mówię: szanuj drzewo — to dobrze mówię, bo nie każę go marnować niepotrzebnie, tak jak to wasze kobiety a jeszcze lepiej wasze sługi umieją. Kiedy jest, to już go przez cały boży dzień noszą a noszą, sęk nie sęk, mokre nie mokre, wszystko to u nich jedno, byle się tylko kopciło i trzaskało na kuchni.

Mikołaj. Prawda, ale trudno im za to przykre słowo powiedzieć, bo jak tu nie palić, kiedy mróz chodzi po kościach?...

Jędrzej. A to właśnie w tem sztuka, aby jak najmniej drzewa spalić a ciepło było. Dawniej u nas w Polsce nie uważali na to, jako że prawie w każdej stronie było lasów aż gęsto, więc i drzewa prawie za pół darmo można było dostać. Ale dziś i te lasy mocno się u nas przerzedziły, i w wielu miejscach — jak na ten przykład w naszej wsi — cale ich już nie ma, dopiero o kilka mil trzeba gdzieś jechać po drzewo i na

dobitek jeszcze dobrze zapłacić — więc już nie wypada tak brykać jak dawniej bywało, i drzewem szastać niepotrzebnie, kiedy drogo kosztuje. Dość się jeno przypatrzyć po innych krajach, albo posłuchać, jak to tam umieją drzewa opałowego oszczędzać. Sposób w jaki to czynią, cale nie jest trudny, i łatwo się go można nauczyć.

Mikołaj. No proszę, i wy to znacie? a to bym rad posłuchać.

Jędrzej. Tylko naprzód was proszę, abyście mi nie przerywali i spokojnie do samego końca wysłuchali co powiem.

Aby drzewa jak najmniej wyszło a przecie ciepło było na izbie, potrzeba mieć przedewszystkiem dobrze urządzony piec i kuchnię. Prawda że to kosztuje, bo za darmo nic — więc i majstra dobrego trzeba zapłacić i materyału za jakie kilkanaście reńskich nakupić. Aleć lepiej jednego roku odżałować choćby i dużo, a potem mieć z tego na zawsze wygodę, aniżeli tak rok w rok paskudzić biedę. Zresztą taki wydatek na kuchnię nie zginie marnie, i w jednym roku, a najdalej w dwóch latach opłaci ci się sowicie — bowiem co stracisz na piec i kuchnię, to znowu zyskasz na drzewie. Przytem będziesz sobie mieszkał ciepło i sucho, i ochronisz siebie, dziatwę i czeladź twoją od różnych chorób, których przyczyną jest wilgoć i przeziębienie. Tymczasem przy tych naszych kuchniach, to aż zgroza bierze patrzeć ile to drzewa wychodzi, a taki na izbie zimno jakby na to mówiąc w psiarni, i ludzie pod piecem siedząc, tulą się w kożuchy i w ręce chuchają.

Dalej trzeba na to uważać: ażeby drzewo do opału było dobrze wysuszone. Na katy się zda, palić drzewem świeżem; bo i trudno jest rozpalić ogień taką surowizną i znowu dużo ciepła się zmarnuje, zanim ta mokrzyna na ogniu wyschnie; to najmniej trzecia część takowego drzewa jest straconą dla ciepła. Należy więc z jednej zimy na drugą postarać się o drzewo opałowe, drobno go połupać, przez lato do słonka i na wietrze przesuszyć, i to ile możności, aby było pod jakiem przykryciem, pod jaką szopą. Takie drzewo suche i drobno porąbane prędko się w płomień rozpali, i izbę wnet zagrzeje, i wszystko duchem się przy niem ugotuje.

Potrzeba też uważać i na gatunek drzewa, bo niekażde zarówno wiele ciepła daje. Najlepsze jest drzewo klonowe; po niem następuje jesionowe, a potem z kolei: grabowe, bukowe, więzowe, dębowe, brzozowe — dalej za temi idzie: osiczyna, wierzbina i olszyna, które już o połowę mniej ciepła wydają, niż tamte gatunki. Z drzew iglastych najlepszy jest: modrzew, ale o tem nie ma co i gadać, bo to rzadkie dziś drzewo w naszym kraju. Po nim idą: sosna, jodła i świerk. Im twardsze drzewo, tem więcej daje ciepła, bo się wolno pali, i zostawia wiele węgla, co silny żar wydaje; dla tego to: buczyna, grabina, brzezina, dębina, wiąz i klon, daleko lepsze są do opalania mieszkań, niż drzewa iglaste, które znowu wybuchając wielkim i silnym płomieniem, przydatniejszemi są: do cegielni, wapiarni i do pieców piekarskich.

Nareszcie trzeba i na to uważać, z jakiej części drzewa bierze się na opał, i jak stare jest drzewo. Bo drzewo wzięte z pnia, więcej wydaje ciepła, jak z gałęzi i chrustu, wyjąwszy może u dębu, świerku i innych twardych drzew. A drzewo średniego lub dojrzałego wieku pożyteczniejszem będzie na opał, niż młode lub przestarzałe. Drzewo wolno sobie w lesie stojące lepsze niż z gęstego zarośla wycięte, bo takie drzewo ma słój nabitszy, i cięższe jest, i więcej wydaje ciepła. Drzeń znowu lepszy jest od bielu; podobnież ta część pnia, która jest bliżej ziemi, lepsza niż ta co wyżej od ziemi. Nakoniec drzewo zimą ścinane więcej da ciepła, jak drzewo ścięte w soku — to zaś więcej daje płomienia.

Owóż Mikołaju, wiecie o tem wszystkiem i do tego się ile możności stosując, znajdziecie sposób oszczędzenia drzewa, a cieplej wam będzie w chałupie jak po dziś dzień. I wtedy dopiero drwić sobie będziecie mogli na śmiało ze zimy i nie stać o jej łaskę — a co?

Mikołaj. Ależ miły Jędrzeju! gdybym na was nie patrzył własnemi oczyma, przysiągłbym że to wszystko z jakiej książki czytaliście, com dopiero od was słyszał.

Jędrzej. A jakżeście myśleli inaczej? taże z książki ja to wiem, a nie ze swego rozumu.

Mikołaj. Aha! na śmierć zabyłem, żeście to wy nauczeni

na książce. Jaka to bieda, że człek się tego za młodu nie nauczył, teraz na starość, oho ani myśleć, już za późno brać się do nauki, a bardzo by się człeku przydała, jak widzę. Ale za to moich malców tem pilniej naganiać będę do szkoły. Tymczasem za dobrą radę dziękuję!

Jędrzej. Nie ma tak bardzo i za co — jeno uważcie sobie sąsiedzie, że to zima na karku.

Mikołaj. No, no, jakoś to będzie za Boską pomocą.

RÓŻNOŚCI.

Praktyka Maćka z zającem. Jużto jak człowiek ma nieszczęście, to przypadek go nie minie, choćby się i w myszą jamę schował — jak to mówią: ręką nos ucierając, palec sobie wywinie. Nikt nie słyszał jako żyw, żeby człeka głupi zając wywiódł w pole, a przecież takowy trafunek wydarzył się niejakiemu Maćkowi z nadwiślańskiej Woli, choć to chłop był nielada i niesłychanie dufał w swój rozum. Było to jakoś w jesieni. — Wisła wezbrała nagłą powodzią i prawie na pół mili rozlała się po okolicy, a nawet drzewom przy gościńcu sięgała aż po sam wierzchołek. Wielki był postrach we wsiach pobliskich, ale na szczęście jakoś Bóg litościwy odwrócił plagę i woda zaraz nazajutrz zaczęła opadać powoli. Korzystając z tego Maciek z nadwiślańskiej Woli, wybrał się z małem czółenkiem na zalane wodą pola. Myśli sobie: może się da złowić jaki kawał drzewa albo jaka inna rzecz, jak to zwyczajnie bywa podczas powodzi. Aliście wypłynąwszy spory kawał od suchej ziemi, patrzy, a śród wody stoi rozłożysta wierzba, a na jej wierzchołku strzyże uszyma stary przestraszony zając. Nadpłynął on z falami wody i zatrzymał się śród konarów wierzby. Woda opadła prędko do połowy drzewa, a biedny zając zawisł na wierzchołku na pół nieżywy z przestrachu. Maciek przybył z czółnem pod samo drzewo i myśli sobie: „Otóż mię już Bóg opatrzył! będzie i pieczeń smaczna i żyda pociągnę za skórę.“ I aż oblizał się z radości a rękę wyciągnął ku zającowi. Ale co się nasilił i napróbował, ani rusz go dostać. Rad nie rad musiał innego chwycić się sposobu. Przyparł więc czółno mocno do drzewa, że stanęło jak przykute, a sam dalej lezie na wierzchołek po szaraka. Już się wydrapał na pierwszą gałęź i wprost zająca chwytał za słuchy, aż tu niecnota szarak jak się rzuci gwałtownie na bok, taj hoc na dół prościuteńko w samo czółno. I otóż patrz co za nieszczęście, przyparte do drzewa czółno zachwiało się nagle i potrącone gwałtownym skokiem zwierza, chyżo i lekko popłynęło dalej. Maciek został na wierzbie, i co mu sił stało wrzeszczał na zająca: aho! hoho! hou! prru, gwałtu! i Bóg wie jeszcze jakiemi innemi wołał wyrazami, ale zając spokojnie płynął dalej i ani się obejrzał niecnota. Biedny Maciek musiał dwa dni o głodzie i chłodzie przesiedzieć na drzewie — i odtąd nie zaczepiłby zająca, choćby mu sam lazł w łapę.

Czem jest zły sąsiad?...

W gardle kością,
W chlebie ością,
Pniem na drodze,
Cierniem w nodze,
Solą w oku,
Kolką w boku.

Redaktor: **B. Bielawski.** Odpowiedzialny wydawca: **E. Winiarz.**